

Selekcja
po namibijsku



Najciekawsze parostki
sezonu 2015/2016



Pasy do broni –
praktyczne wykorzystanie



Brać łowiecka

MIESIĘCZNIK MYŚLIWYCH I SYMPATYKÓW ŁOWIECTWA

KWIECIEŃ 2016 | NR 217 | CENA 14 ZŁ
(W TYM 8% VAT)



Czy łowiectwo to sport?

Witold Daniłowicz | strona 30

**Bażant łowny – trudny
wybór partnera do prokreacji**

Daria Murawska | strona 50

ISSN 1429-7698
Indeks 342866



w numerze

Historia przeplata się z teraźniejszością Rozmowa z Adamem i Władysławem Rybińskimi Izabela Kamińska 6	Polowanie na słowa 54 Dwa szczęścia Mariusz Jerominek Łowiecki mentor Zygmunt Andruszewski jr
W poszukiwaniu Świętego Graala Wojciech Bołoz, Daniel A. Kałużycki 12	Pieczona szynka lub łopatka jagnięca 60 Wojciech Charewicz
Wieści z pól i kniei 14 Odstrzał sanitarny zarządzony Na ratunek choremu chłopcu! Franciszek Jamniuk Złoty oręż Wojciech Nowosad Zakaz importu trofeów do Europy – zażegnane zagrożenie? Oko w oko z szesnastakiem Norbert Mazurkiewicz Rogacz marzeń Jakub Zmarzłak Władczyni niechcianego królestwa Łukasz Jędrych Podziękowania dla Kł „Trop” w Szczecinie Dorota Wypych i Renata Siegień Nowy lider w Kł „Odyniec Darłowo” Jacek Waliszewski Medalowy sezon Robert Dumka	Klub sprzedaży wysyłkowej 62 Co ciekawego w sklepach myśliwskich 64 Chłodnia kontenerowa Daro Mini Kieszonkowy monokular Steiner Miniscope 8x22
Zdaniem myśliwego 22 Droga myśliwego do Krainy Wiecznych Łowów Tadeusz Böhm Wilk a sprawa polska Michał Łukasiewicz O braku przedstawicieli PZŁ na pogrzebie Jacka Tomaszewskiego „Głos w sprawie selekcji” – <i>ad vocem</i> Wojciech Szykowny	Chevalier Tracker i Protect – dla przewodników posokowców i podkładaczy 65 Łukasz Dzierżanowski Inna wizja łowiectwa 68 Dariusz Gizak
Obowiązek prac gospodarczych 28 Miłosz Kościelniak-Marszał	Ogłoszenia drobne 72
Czy łowiectwo to sport? 30 Witold Daniłowicz	Odzyskanie cofniętego pozwolenia na broń 76 Bartosz Bacia
Selekcja po namibijsku 34 Jakub Piasecki	Wyżeł weimarski – szary duch 80 Marek Targoński
Najciekawsze parostki sezonu 2015/2016 (I) 38	Subiektywna ocena piękna psa 82 Jan Borzymowski
X Mistrzostwa PZŁ – dziennik podprowadzającego 42 Paweł Lisiak	Uprawnienia hodowlane 84 Cezary Marchwicki
Z zagranicy 46	Parkur uczy polowania Rozmowa z Remigiuszem Włodarczykiem 86 Adam Depka Prądziński
Bażant łowny – trudny wybór partnera do prokreacji 50 Daria Murawska	Premiera Sauera S100 90 Łukasz Dzierżanowski
Wiosna – żywieniowy czas roślinożerców 52 Paweł Janiszewski	Pasy do broni – praktyczne wykorzystanie 92 Michał Dudzik
	Krzyżówka myśliwska 98

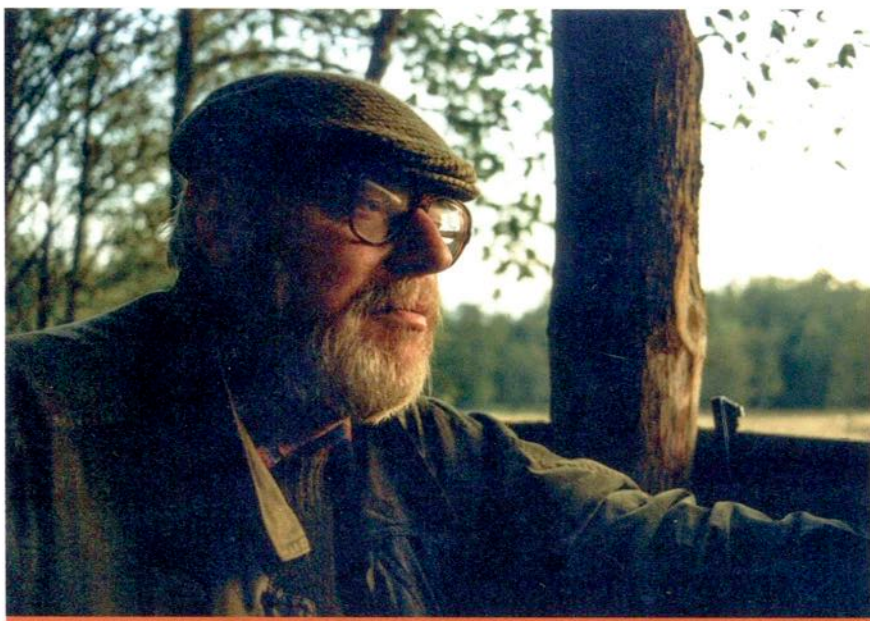
Historia przeplata się z teraźniejszością

Bohaterów tego wywiadu łączą nie tylko więzy krwi, lecz także wspólne pasje. Przyroda, historia, Afryka, film, sztuka – to zaledwie niektóre z nich. **Adam Rybiński** (ojciec) oraz **Władysław Rybiński** (syn) inaczej podchodzą jednak do łowiectwa. Potomkowie ostatniego właściciela pałacu w Wilanowie opowiadają o gospodarce łowieckiej prowadzonej przez swoich przodków oraz magii współczesnych parforsów u rodziny Reyów w Montrésor.

Niemiecki biskup Julius Angerhausen pisał: *Kto idzie na pustynię, ten nie szuka tam chleba, lecz niesie w sobie głód za czymś większym. Czego można poszukiwać na bezkresnych piaskach Sahary?*

Adam Rybiński: Afryka od najmłodszych lat była moim wielkim marzeniem. Opowieści ukochanej Buni, czyli babci Beaty z Potockich Branickiej, o prapradziadku Konstantym Grzegorz Branickim (1824–1884) wyprawiającym się na łowy na lwy oraz lektura „W pustyni i w puszczy” sprawiły, że w dziecięcej głowie powstało pragnienie poznania Czarnego Lądu. Na ten kontynent dotarłem jednak dopiero jako dorosły człowiek, w 1974 r. Można powiedzieć, że miałem mnóstwo szczęścia, gdyż w owym czasie takie wyjazdy były po prostu nierealne. Mnie się to udało dzięki stypendium, które otrzymałem w Algierii. Kiedy uzyskałem pozwolenie od kierownika Studium Afrykanistycznego, w którym pracowałem, spakowałem plecak i wyjechałem.

Czego tam szukałem? Wydaje mi się, że chciałem uciec jak najdalej od tej trudnej rzeczywistości, jaką mieliśmy w Polsce. I trafiłem w najodleglejszy zakątek algierskiej Sahary, w miejsce, gdzie człowiek może się poczuć naprawdę wolny. Nie jest to jednak, jak sądzą niektórzy, ziemia martwa czy też



Arch. Adama i Władysława Rybińskich (14)

Dr Adam Krzysztof Rybiński – etnolog, afrykanista, podróżnik, myśliwy, miłośnik przyrody, kolekcjoner, a także pisarz. Wnuk hr. Adama Branickiego, ostatniego właściciela pałacu w Wilanowie. Gromadzi dzieła sztuki oraz literaturę dotyczącą historii i tradycji swoich przodków. Zawodowo zajmuje się kulturami społeczeństw pasterskich w Afryce, zwłaszcza Tuaregów i Beduinów. Przez lata prowadził badania i wykłady w Instytucie Krajów Rozwijających się Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Jest autorem wielu publikacji poświęconych ludom afrykańskim, m.in. „Tuaregowie z Sahary”, a także opracowań dotyczących rodu Branickich.



przekłętą, przepastną i pozbawioną życia kraina piasku. Spotkałem tam wiele wspaniałych istnień – roślin, zwierząt, a przede wszystkim ludzi, wcześniej znanych mi z literatury, fotografii i filmów. Moje stypendium miało trwać trzy miesiące, ale dwukrotnie mi je przedłużano i w sumie spędziłem w Algierii półtora roku.

Kolejne wyjazdy stały się możliwe dopiero od 1999 r. Byłem już wtedy bardzo schorowany, ale kiedy po 25 latach przerwy nadarzyła się okazja włączenia się po Afryce i realizacji marzeń, nie potrafiłem się temu oprzeć. W wyprawie towarzyszył mi Władzio, który był reporterem, a także – ze względu na mój stan zdrowia – moim opieku-

dr Izabela Kamińska
e-mail: i.kaminska@oikos.net.pl





Władysław Jan Paweł Rybiński – dziennikarz, reżyser, podróżnik i historyk sztuki. Pracuje jako reporter oraz operator kamery w Telewizji Polskiej. Interesuje się kulturą Afryki, na której temat tworzy materiały fotograficzne i filmowe do celów etnograficznych. Reżyser filmu dokumentalnego „Amrar i grioci – o szaleństwach pewnego etnologa” oraz współautor książki „Wyspa Montrésor”. Na swoim koncie ma liczne wystawy fotografii reportażowej.



Arnaud i Weronika (z domu Szerauc, prawnuczka Ksawerego Branickiego) Saint Olive na polowaniu w Montrésor

nem i ogromnym wsparciem dla mnie. To dzięki niemu odważyłem się na ten i następne wyjazdy. Odczuwam jednak satysfakcję, bo zaraziłem go swoją pasją.

Władysław Rybiński: Po raz pierwszy wyruszyliśmy na miesiąc do Maroka. Cały czas byliśmy razem i odkrywaliśmy ten kraj wspólnie. Tata, znający już dobrze świat Tuaregów i Beduinów, służył mi za przewodnika. Miałem prawdziwe szczęście, że mogłem tam pojechać – to niesamowite doświadczenie i naprawdę mocne doznania. Takie przeżycia chce się oczywiście rejestrować, dlatego robiłem bardzo dużo zdjęć. Utrwalanie tamtych sytuacji, ludzi i zwierząt miało na celu nie tylko pokazywanie efektów naszych wycieczek przyjaciółom, lecz także zebranie materiałów naukowych potrzebnych tacie do badań. Dostałem kamerę i pełniłem ważną funkcję operatora. Ganiałem z nią i starałem się jak najwięcej dokumentować. Czasami to było fajne, ale sporo się denerwowałem, bo nie dość, że ciężko pracowałem w upale, to jeszcze nie wszystko rozumiałem. Dopiero po powrocie, kiedy zacząłem opracowywać te materiały i z wielu godzin nagrań robić krótkie filmy, okazało się, że to naprawdę wspaniałe zajęcie. Wracając do pani pytania, nie jechałem do Afryki z konkretnym celem, lecz to

właśnie tam znalazłem pomysł na swoje zawodowe życie.

Panie Władysławie, z wykształcenia jest Pan historykiem sztuki. Dlaczego nie poświęcił się Pan tej dziedzinie?

W.R.: Studia z historii sztuki, które ukończyłem na Uniwersytecie Warszawskim, były dla mnie bardzo ważnym czasem. Wiele się na nich nauczyłem, pomogły mi też docenić klasę dzieł sztuki zgromadzonych przez moich przodków oraz pasję kolekcjonerską polskiej ary-

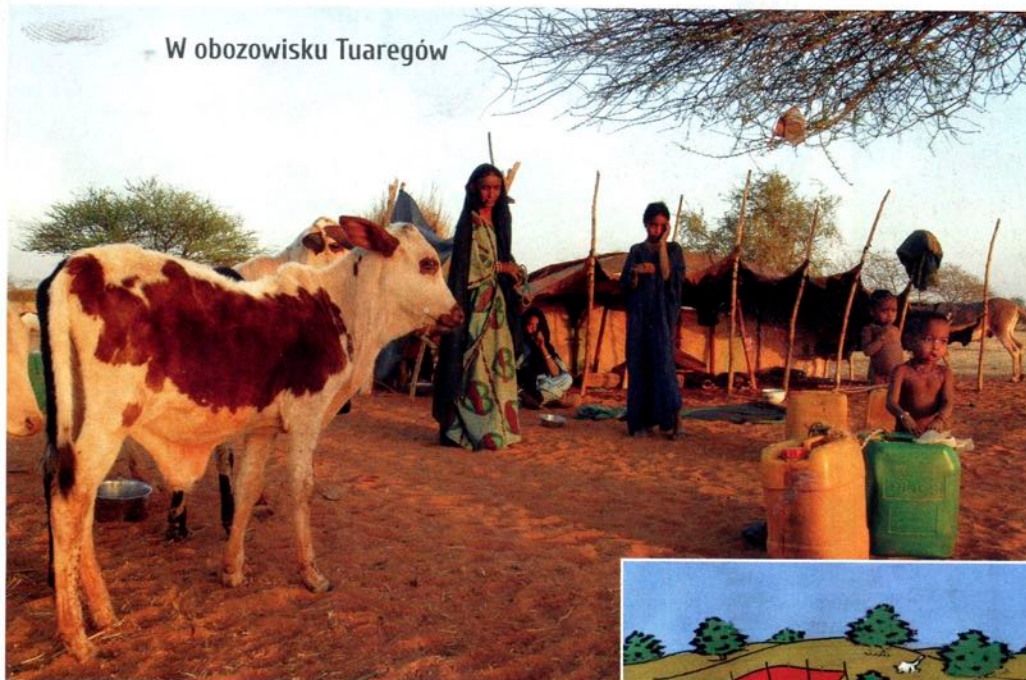
stokracji. Historia sztuki bazuje przede wszystkim na przedmiotach, a dla mnie najciekawszy jest jednak człowiek. Rzeczy bywają niezwykle – chociażby piękna broń czy obraz – ale odkrywanie drugiego człowieka to moim zdaniem najbardziej fascynujące zajęcie.

A.R.: Pozwolę sobie wtrącić, że o mały włos, a ja też zostałem historykiem sztuki. Tak by wypadało ze względu na tradycje kolekcjonerskie w mojej rodzinie i należący do niej wspaniały Wilanów, który niemal w całości moi ►



Polowanie konne z psami na jelenia w czasach Ksawerego Branickiego

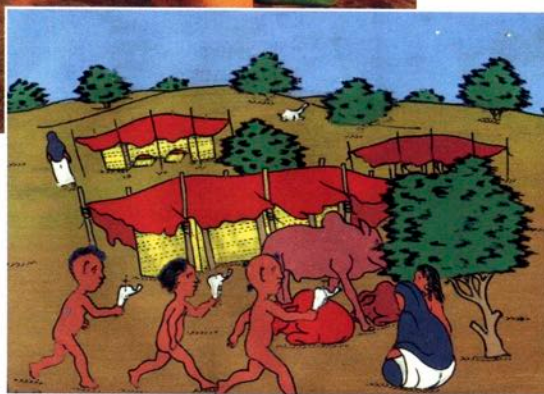
W obozowisku Tuaregów



dziadkowie przekształcili w zwiedzane przez tłumy prywatne muzeum. Zrezygnowałem jednak z tych studiów, gdyż nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mógłbym się zajmować bezprawnie zabranymi nam zbiorami jako zimny i obojętny badacz. Nie wytrzymałbym tego psychicznie. Wybrałem etnologię.

Pojechał Pan badać ludy koczownicze, dla których granice nie istnieją. Jacy są tamci ludzie? Czy w kontaktach z nimi trudno przełamać barierę kulturową?

A.R.: W Afryce spotkałem wspaniałych, życzliwych i gościnnych ludzi. Wielu z nich zostało moimi przyjaciółmi i odwiedza mnie w Polsce. Podczas naszych wypraw miejscowi zawsze miło nas witali, bo czuli, że jesteśmy nastawieni pokojowo. Jako karta wizytowa służyła mi moja książka o Tuaregach, która otwierała każde drzwi, a raczej wejścia do namiotów, bo drzwi tam nie ma. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi, że ktoś się interesuje ich kulturą, zwłaszcza że sami niewiele o sobie wiedzą. W dowód uznania zostałem przez nich nazwany *amrar* – ten termin oznacza osobę doświadczoną, starca, autorytet. Mieliśmy też upominki dla lokalnej ludności, które zawsze pomagają przełamywać bariery, czyli przede wszystkim uwielbianą tam herbatę i cukier. Pokonując bezkresne tereny Mali, Nigru i Burkina Faso, nigdy nie szukaliśmy hoteli, ale tłukliśmy się po obozowiskach pasterzy i żyliśmy razem z nimi. Nie jest tam bezpiecznie ze



Obraz tuareckiego malarza Rissy Ixy ukazujący, jak dzieci bawią się szczękami kóz i owiec

względem na toczące się wojny oraz działalność Al-Kaidy, lecz na szczęście nigdy nie spotkało nas nic złego.

W.R.: Afrykanie bardzo szybko nas zaakceptowali. Wiedzieli, że przyjechalśmy do nich w celach naukowych. Byli otwarci, chętnie z nami rozmawiali, pokazywali nam swój świat, i to nie tylko rzeczywistość zewnętrzną, bo opowiadali też o wierzeniach oraz tradycjach. Wielkim ułatwieniem było to, że często nie musieliśmy korzystać z pomocy tłumaczy. Dobrze mówimy po francusku, który w tych państwach jest językiem urzędowym.

Czy dla ludów żyjących w Afryce Zachodniej łowiectwo stanowi ważny element gospodarki?

A.R.: Tereny północne Mali i Nigru są bardzo ubogie w zwierzynę. Już dawno wypędzono tam lwy i żyrafy. Ostatnich pięć strusi zamieszkujących w rejonie Air w północnym Nigrze zabił emir Kataru. Właśnie giną ostatnie oficjalnie chronione antylopy adaks. Głód i toczące od wielu lat wojny zapewne przyczyniają się do wybicia wszelkiej zwierzyny.

ny. Spotkanie gazeli czy dropia to dziś prawdziwy cud. Lepiej jest na południu tych państw i w Burkina Faso, gdzie istnieją wytyczone obszary łowieckie, w których prowadzi się planową gospodarkę. Na łowy na lwy, bawoły, różne gatunki antylop i guźce przyjeżdżają europejscy myśliwi, głównie z Francji i Belgii. Poluje się też na dzikie gęsi i kaczki.

Wśród mieszkańców zwłaszcza północnych regionów Afryki Zachodniej panuje ogromna bieda. Podstawowym źródłem utrzymania są uprawa ziemi oraz pasterski chów kóz, owiec, bydła i wielbłądów. Zwierzęta dostarczają nie tylko mleka i mięsa. Z ich skór robi

się wiele przedmiotów codziennego użytku, takich jak: pojemniki na sery i masło, bukłaki na wodę, juki, poduszki oraz namioty. Dla nas dość szokujące jest to, że tuareckim dzieciom stare szczęki zabitych kóz i owiec służą jako zabawki.

W.R.: Trafiliśmy kiedyś do obozu dla myśliwych w Burkina Faso. Obok niego znajdowała się mała wioska Gurmanców – łowców z dziada pradziada. Dawniej wielu z nich żyło głównie

z łowiectwa, natomiast teraz oferują swoje umiejętności białym myśliwym, którzy przyjeżdżają na polowania. Udało nam się wyprawić z Gurmancami do buszu, gdzie pokazywali nam bytujące tam zwierzęta oraz opowiadali o ich zwyczajach. Są fenomenalnymi myśliwymi, doskonale się orientują w terenie, potrafią bardzo szybko zlokalizować zwierzynę i nie zdarza im się chybić. Polują na bawoły, antylopy, guźce, a nawet lwy i lamparty. Chociaż wiele czasu spędziłem w lesie, sporo wiem na temat tropów, mam dobre oko oraz dużą czujność na zmiany w środowisku, to umiejętności i kunszt tych łowców stanowią dla mnie nieosiągalny pułap. Zajmują oni bardzo wysoką pozycję w hierarchii społecznej. Znają się nie tylko na zwierzętach, lecz także na roślinach i w związku z tym często bywają znachorami. Po powrocie z buszu w czasie rozmowy okazało się, że poza umiejętnościami technicznymi Gurmance mają niezwykle bogate tradycje oraz rozbudowany system religijny. To animiści, którzy wierzą, że zwierzęta, rośliny, a nawet zjawiska pogodowe posiadają duszę. Ze względu na to, że

istoty nadprzyrodzone mieszkają w buszu, najlepszy kontakt z duchami mają właśnie myśliwi. Przez to traktuje się ich jak kapłanów – noszą oni specjalne amulety, a ich ołtarze ozdabia się trofeami. Myśliwi bardzo dbają o duchy zwierzyny i składają im ofiary. Kiedy upolują jakiego zwierzę, muszą przebłagać jego ducha oraz prosić o powodzenie na kolejnych łowach.

Panie Adamie, czy Pan także próbował swoich łowieckich sił w afrykańskim buszu?

A.R.: W północnym Mali czy w Nigrze, gdzie zwierzyna jest niemal wytępiona, przez myśl mi to nie przeszło. Co innego w Burkina Faso. Nawet umawiałem się z Gurmanczami, że powrócę na łowy ze swoimi przyjaciółmi, ale jak dotąd nie zrealizowałem tego pragnienia. Nasze polowania ograniczały się do robienia fotografii i do filmowania. Jako afrykanista zawsze marzyłem o spotkaniu lwa – dla mnie symbolu Afryki. Niestety dziś w Afryce Zachodniej to prawie niemożliwe.

Wszystko zaczęło się w dzieciństwie, gdy moja ukochana Bunia czytała mi fragment „W pustyni i puszcy” o tym, jak to Staś Tarkowski zastrzelił lwa. Na chwilę przerwała wówczas lekturę i dodała: – *Twój prapradziadek Konstanty Branicki też polował na lwy*. Długo czekałem na ten moment, kiedy nareszcie spotkam tego wspaniałego drapieżnika. I w końcu się udało. Najpierw zobaczyłem tropy – ogromne odciski lwich łap. Jak szalony ruszyłem po śladach, pozostawiając swoich towarzyszy. Nagle w wysokich żółtych trawach ujrzałem mały ciemny punkt, potem drugi, a póź-



Adam Rybiński i Sidi Mohamed Ahmed Ebague – powszechnie czczony marabut, który swoimi lekarstwami uratował mu życie; Abalak w Nigrze

niej zarys głowy. W trawach leżała lwica. Nieruchoma, odwrócona do mnie tyłem. Zapomniałem o wszelkim niebezpieczeństwie, o tym, że nie mam sztucera i że aparatem gotowym do zrobienia zdjęcia nie zdołałem się bronić. Wrzasnąłem, żeby wstała i żeby mógł ją sfotografować. Rzeczywiście się podniosła i kompletnie mnie lekceważąc, cały czas tyłem do mnie, odeszła. Postanowiłem zabiec jej drogę. Wiedziałem, że jeśli pójdzie prosto, będzie musiała przejść przez drogę, którą niedawno jechaliśmy. Gdy zziąjany tam dotarłem, zobaczyłem, jak oddala się kilkadziesiąt kroków przede mną, idąc cały czas drogą. I znów widziałem tylko jej zad. Zawyłem. Lwica stanęła. Jej ogon z wolna się wyginał. Zawyłem po raz drugi. Powoli odwróci-

ła głowę w moją stronę. Szczęśliwy, naciśnąłem spust aparatu fotograficznego. Cały się trząsnąłem z emocji. Zrobiłem kilka zdjęć. Lwica z obrzydzeniem i pewnie ze złością przez chwilę patrzyła na mnie, po czym wskoczyła w gęszcz okalający drogę. Zacząłem dziękować św. Hubertowi za pomoc i opiekę. Czułem się tak, jakbym upolował tę lwicę. Zachowałem się jak idiota, jak ostatni krety, ale na swoim fotograficznym rozkładzie mam lwa.

Czyli jednak podążył Pan śladami prapradziadka. Co prawda uciekł Pan przed historią sztuki, ale pasja przodków do Pana wróciła.

A.R.: Decydując się na studiowanie afrykanistyki, wcale nie myślałem o tym jak o kontynuacji dzieła Branickich. Dopiero gdy przebywałem na stypendium w Algierii, zdałem sobie sprawę, że jeżdżę śladami swojego prapradziadka, że historia przeplata się z teraźniejszością. Nie wiem, czy to przypadek, los, a może palec boży. Moje życie jest mocno osadzone w przeszłości – staram się bowiem utrzymywać pamięć o swoich działach i prapradziadkach.

Czy wiadomo coś więcej o wyprawach Pańskiego prapradziadka Konstantego Grzegorza Branickiego na safari do Afryki oraz o jego zdobyczach?

A.R.: W pamiętnikach i listach z połowy XIX w. zachowały się o nich tylko wzmianki. Marzyłem, żeby móc się ►



Lwica, którą udało się sfotografować Adamowi Rybińskiemu

Pakarana Branickiego



Dinomys branickii, Peters.

czegoś więcej na ten temat do-
wiedzieć. W archiwum w Mon-
trésor znalazłem pierwszy ślad:
listy Jules'a Gérarda – sławnego
myśliwego i pisarza, określane-
go we Francji mianem zabójcy
lwów – który pisał do mojego
prapradziada, by przyjeżdżał
do Algierii, bo lwy są otropio-
ne. Nie tak dawno na aukcji
internetowej udało mi się ku-
pić XIX-wieczną rycinę przed-
stawiającą strzelca Branickich
z upolowanym lwem. Pochodziła ona
z „Journal des Chasseurs” z 1858 r. Gdy
zaczęłem przeglądać to niezmiernie po-
pularne wówczas pismo łowieckie, oka-
zało się, że na jego łamach Jules Gérard
publikował korespondencję z lwów na
lwy organizowanych przez Konstante-
go i jego brata Franciszka Ksawerego
(1816–1879). Podkreślał, że Branicy
byli pierwszymi, którzy polowali na
lwy ze swoimi psami gończymi. Mam
już przetłumaczone te teksty na polski
i szykuję się, by wydać książkę o łowach
oraz podróżach moich przodków.

Branicy mają też ogromne zasługi dla polskiej nauki. Odbili przecież ekspedycje przyrodnicze do Afryki, na Bliski Wschód i na Kaukaz.

A.R.: Pierwsze naukowe wyprawy orga-
nizowali mój prapradziad Konstanty
Grzegorz oraz jego starszy brat Aleksan-
der (1821–1877), pan na Sucheju. Kon-
stanty był m.in. w Egipcie, Nubii, Syrii
i na Kaukazie. W drugiej połowie XIX w.
sfinansowali oni wyprawę do Algierii
z udziałem zoologa Antoniego Wagi oraz
ornitologa Władysława Taczanowskie-
go. Drugi z ekspertów pracował nad
stworzeniem Gabinetu Zoologicznego

Szkoły Głównej Warszawskiej, a Kon-
stanty Branicki wspierał go w tych dzia-
łaniach. Przekazał do kolekcji wiele oka-
zów, w tym dwa krokodyle, które zabił
w Egipcie, oraz lwa upolowanego w Al-
gierii. Mój prapradziad finansował rów-
nież wyprawy i badania naukowe Bene-
dykta Dybrowskiego na Syberii, Tomasza
Barei w Azji Środkowej oraz Konstante-
go Jelskiego i Jana Sztolcmana w Amery-
ce Południowej. Ekspozyty przesyłane
przez tych badaczy zasilają tak drogi mu
Gabinet. Konstanty miał nadzieję, że
w przyszłości stanie się on muzeum na
wzór Muzeum Historii Naturalnej w Pa-
ryżu. We Francji wraz ze swoim bratem
Franciszkiem Ksawerym był członkiem
założycielem Międzynarodowego Towar-
zystwa Afrykanistycznego, które miało
za zadanie wspierać wyprawy naukowe
na ten niebezpieczny i mało znany wów-
czas ląd.

Dzieło Konstantego kontynuował
jego syn, a mój pradziad Ksawery Wła-
dysław Branicki (1864–1926). Zbiory
były coraz lepsze, a Gabinet doceniano
również poza granicami naszego kraju.
Po powstaniu styczniowym Taczanow-
ski, obawiając się o losy kolekcji i tego,
że w każdej chwili może się ona stać lu-

pem władz carskich, namawiał
swoich mecenasów, aby stwo-
rzyli prywatne muzeum. Tak też
się stało. W 1887 r. z inicjatywy
Ksawerego Władysława po-
wstało prywatne muzeum przy-
rodnicze – Muzeum im. Branic-
kich w willi przy ul. Frascati
w Warszawie. W 1919 r. pra-
dziadek przekazał zbiory pań-
stwu i stały się one wtedy czę-
ścią Państwowego Muzeum
Zoologicznego.

Czy w kolekcji znajdowała się także pakarana Branickiego?

A.R.: Myślę, że tak. To wielka duma dla
mojej rodziny, że ten niezmiernie rzad-
ki gryzoń otrzymał taką nazwę. Liczne
nowo odkrywane ptaki, ryby i owady
również mają w swoich nazwach na-
zwisko Branickich. Świadczy to też
o tym, jak duży wkład wnieśli moi
przodkowie w naukę.

Gdzie dzisiaj można zobaczyć te ekspozyty?

A.R.: To niełatwe pytanie. Mam ogrom-
ny żal, że tych zbiorów nigdzie się nie
prezentuje. Z tego, co mi wiadomo, zo-
stały przeniesione do magazynów PAN
do Dziekanowa, ale trudno powiedzieć,
w jakim są stanie. Olbrzymia szkoda, bo
kolekcja składała się z tysięcy prepara-
tów różnych egzotycznych zwierząt,
m.in. kolibrów oraz rajszych ptaków.
Wielu gatunków, które posiadali Branic-
cy, dzisiaj już nie ma, dlatego to napraw-
dę bardzo ważne zbiory. Na świecie mu-
zea szczytą się takimi skarbami, a u nas
się o nich zapomina i nikt się nimi nie
interesuje. Niestety to niejedynie straty.
Ślad zaginął również po zbiorze trofe-
ów, które z Wilanowa zostały przekaza-
ne już po wojnie do Muzeum Łowiec-
kiego mieszczącego się wówczas przy
ul. Nowy Świat w Warszawie.

Wspomniał Pan o polskich trofeach. No właśnie, Branicy polowali nie tylko na safari, lecz także w rodzimych łowiskach. Proszę powiedzieć o tym coś więcej.

A.R.: Pradziadek Ksawery dbał o to,
aby wszystko było na jak najwyższym
poziomie, miał najlepszą służbę leśną,
leśniczych i strzelców oraz wspaniałe
psy. Był inicjatorem powołania Towar-
zystwa Prawidłowego Myślistwa. Ota-
czał się znakomitymi myśliwymi – jego



Ibis Branickiego, zwany też ibisem andyjskim,
strzyż Branickiego i bielik Branickiego

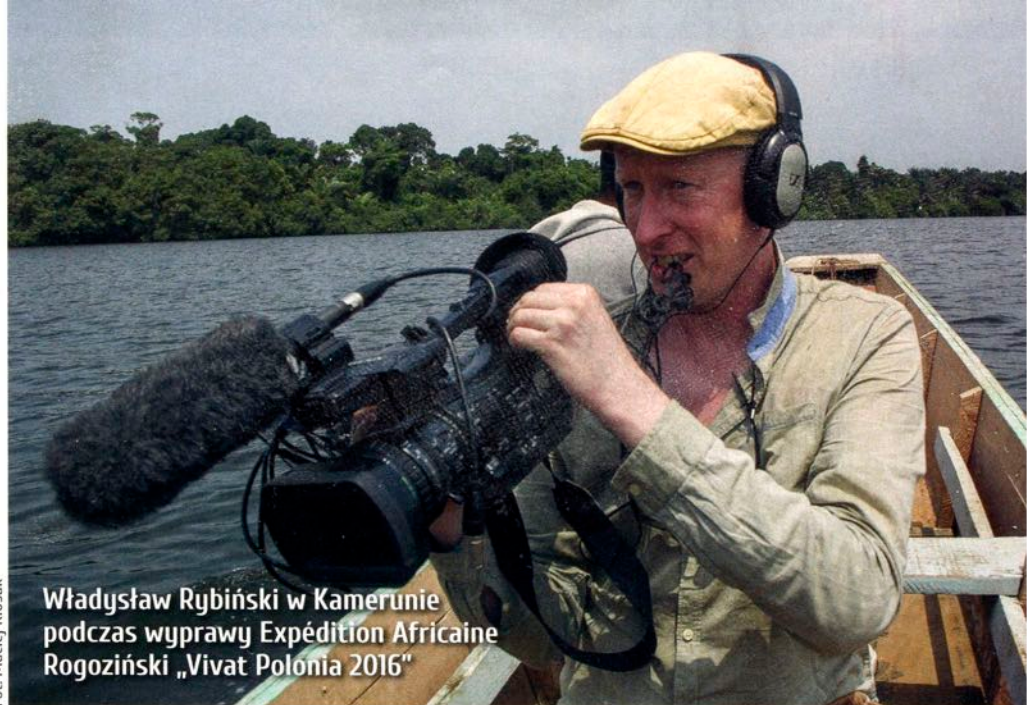
przyjaciółmi i towarzyszami łowów byli m.in.: Jan Sztolcman – długoletni dyrektor Muzeum Branickich, Franciszek Ejsmond – znany malarz, ojciec Juliana, czy Ludwik Szwede – prezes Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Zachowało się wiele opisów podwarszawskich polowań, choćby tego w Chojnowie, na które spod pałacu Branickich przy Nowym Świecie 18 wyruszono saniami. Po powrocie z łowów przed bramą czekali już na myśliwych warszawiacy, którzy uczestniczyli w uroczystym pokocie. Później część dziczyzny sprzedawano, bo dbano też o sprawy gospodarcze.

Potoccy z Łańcuta posiadali sklepy w Wiedniu i we Lwowie, w których sprzedawali produkowane przez siebie alkohole oraz dziczyznę. Czy Branicy działali podobnie?

A.R.: Nic na ten temat nie wiem. W Warszawie istniał sklep, ale były w nim głównie produkty rolne i wytwarzana w fabryce Branickich marmolada. Możliwe, że znajdowały się tam też towary łowieckie.

Czy wzorem innych arystokratów był Pan od dziecka uczony łowiectwu?

A.R.: Zacząłem polować dość późno, dopiero wiele lat po studiach. Wcześniej nasłuchiwałem się jednak myśliwskich opowieści, czytałem „Sobola i pannę” oraz towarzyszyłem w łowach wujowi Stasiowi Jabłonowskiemu. Potem, już jako nastoletni chłopiec, jeździłem do leśniczówki w Puszczy Piskiej i podchodziłem jelenie na rykowisku z teatralną lornetką. Przeżywałem wtedy coś wielkiego. Gdy miałem 15 lat, leśniczy dał mi strzelbę i pozwolił zasiąść przy norze borsuka. Zwierz co prawda nie wyszedł, ale ta atmosfera, strach, księżyc, sowy – to było cudowne. Potem nie miałem możliwości polować, bo poszedłem na studia, a później wyjechałem do Algierii i włączyłem się z plecakiem po pustyni z Tuaregami. Jednak kiedy wróciłem, okazało się, że moi przyjaciele i kuzyni są myśliwymi, więc znowu przypomniałem sobie o dawnych wyprawach łowieckich. Zacząłem polować w Puszczy Bolimowskiej ze Stankiem Jabłonowskim, Bronkiem Komorowskim, Andrzejem Jaroszem, Biśkiem Jasińskim i Karolem Purskim w KŁ „Tur”. Duszą naszego koła był pan Bogusław Zaleski. Po skończonych łowach wpada-



Władysław Rybiński w Kamerunie podczas wyprawy Expédition Africaine Rogoziński „Vivat Polonia 2016”

Fot. Maciej Kłosak

liśmy do niego do Brwinowa, a on czytał nam swoje wspomnienia myśliwskie i z wojny z bolszewikami.

Zgoda innych doświadczeń dostarczały mi wizyty w Montrésor, majątku również należącym do Ksawerego Władysława Branickiego. W XIX w. miejsce to słynęło z polowań, na które byli zapraszani francuscy sąsiedzi i krewni oraz przyjaciele z Polski. Dziś zgodnie z tradycją nasi kuzyni Reyowie co roku urządzają wspaniałe konne łowy na jelenie. Bierze w nich udział moc mieszkańców okolicznych miejscowości. Kończą się one odegraniem na rogach m.in. fanfary Branickich oraz ucztą myśliwską w zamku.

Czy łowiectwem starał się Pan też zarazić swoje dzieci?

A.R.: Po latach, kiedy trafiłem do wymarzonego koła „Darz Bór”, gdzie polowali wzmiankowany już Stanisław Jabłonowski, mój teść Andrzej Czartoryski, Sergiusz Niemojewski, Włodek Podolec, Kot Bniński i cała masa znakomitych myśliwych, zacząłem zabierać na łowy całą czwórkę swoich dzieci: Marię Beatę, Władysia, Julię i Maciusia. Kochane pociechy, gdy o świcie ciężko mi było wstać na poranny podchód, bezlitośnie wypędzały mnie z ciepłego łóżka. Pamiętam, jak kiedyś z Marysią byliśmy w lesie i zaczęły wyć wilki. Oboje czuliśmy wyjątkowość tej sytuacji. Córka przytuliła się wtedy do mnie i powiedziała: – *Tatusiu, my naprawdę słyszymy wilki!*

Panie Władysławie, a jak Pan wspomina czas spędzony w dzieciństwie

w lesie? Dlaczego tacie nie udało się przekonać Pana do łowiectwa?

W.R.: To jedne z najwspanialszych wspomnień. Pamiętam wyjazdy całą gromadą – z różnymi wujami, kuzynami i moim dziadkiem. Co wieczór obowiązkowo odbywały się posiedzenia, podczas których dużo się rozmawiało. Część myśliwych opowiadała o przedwojennych polowaniach. Nigdy nie zapomnę historii Sergiusza Niemojewskiego o wyjazdach w łowisko z chartami. Ważny był też czas spędzony w lesie na obserwowaniu tropów i rozpoznawaniu zapachów. Do dziś czerpię z tego ogromną radość. Jeżdżę do lasu minimum raz w tygodniu. Umiejętność analizy zjawisk przyrodniczych sprawia mi wielką satysfakcję. To nieprawda, że tata nie przekonał mnie do łowiectwa, bo znam i rozumiem zadania gospodarki łowieckiej. Nie krytykuję myśliwych.

Czy nie czuł się Pan w obowiązku, aby kontynuować rodzinne tradycje łowieckie?

W.R.: Uważam, że to robię. Spędzam dużo czasu w lesie i zgłębiam zagadnienia przyrodnicze. Jednak myśliwym nie można zostać na siłę. Zapewne gdybym żył kilkadziesiąt lat wcześniej, czułbym potrzebę dołączenia do polującej braci.

A.R.: Ależ my z Władziem mamy za sobą wspólne łowy – z aparatem fotograficznym. I podobnie jak nasi przodkowie przeżyliśmy razem wiele afrykańskich przygód.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Izabela Kamińska